

MAGAZYN OPINII

Pismo.

MAJ 2019 | NR 5(17)



MAGAZYN OPINII Pismo.

MAJ 2019

OPOWIADANIE

Toń | 6

ŁUKASZ ORBITOWSKI

#miłość | 92

PATRYCJA PUSTKOWIAK

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3

wydarzenia kulturalne w maju

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 96

KRZYSZTOF GONCIARZ

POEZJA

Wybrzeże południowe | 11

JONÁŠ HÁJEK

Łódka na jeziorze | 65

MILAN DĚŽINSKÝ

O problemach lasu | 81

JITKA N. SRBOVÁ

OBRAZ

CYKL MIGRACJE **Rocinha** | 4

KAROL GRYGORUK

FOTOREPORTAŻ **All ekskjuzmi** | 36

JACEK TURCZYK

KOMIKS **Maski** | 66

OKTAWIA OGNIEW

ZARTY RYSUNKOWE **Radość**

PAWEŁ JAROŃSKI

OKŁADKA **Modlitwa o sprawiedliwość**

TOMASZ MAJEWSKI

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Kijki**

MARCIN WICHA

PORTRET

12 | **Piotr Rychwalski: punk, który jeździł koleją**

OLGA GITKIEWICZ o prezesa Kolei Dolnośląskich, który wyprowadził je na prostą

Z PISMEM U...

28 | **...wróżki**

TOMASZ KWAŚNIEWSKI poszedł do nauczycielki anielskiej

ROZMOWA

74 | **Literatura to podważanie oczywistości**

Z OLGĄ TOKARCZUK rozmawia ZOFIA KRÓL

REPORTAŻ

20 | **Matka Boska rozkłada ręce**

MICHAŁ SZCZĘCH o księdzu, który bezkarnie krzywdził dzieci

44 | **Sprawdzeni mężowie**

MIROSŁAW WLEKŁY u katolików, którzy rewolucjonizują oblicze Kościoła

58 | **Ludobójstwo jezydów**

NIKLAS ORRENIUS o Szwedach, którzy walczyli w ISIS, a dziś są w swoim kraju bezpieczni

ESEJ ŚWIAT

52 | **Dlaczego nie ma nowych wielkich religii?**

JON EMONT pyta, komu dziś jesteśmy w stanie oddać swoją duszę

ESEJ IDEE

82 | **Wątpliwość**

REBECCA SOLNIT

ESEJ KULTURA

84 | **Dekada horroru**

JAKUB MAJMUREK o tym, co horrory mówią o nas


MARCIN WICHA

(ur. 1972), grafik, projektuje okładki, plakaty, znaki graficzne. Pisarz. Nagrodzony Paszportem „Polityki” 2017 w kategorii literatura. Laureat Nagrody Literackiej Nike 2018 za *Rzeczy, których nie wyrzuciłem*.

Kijki

Już dawno nie powinno być tego sklepu. Nie w tym miejscu. Nie w tym punkcie miasta. To już nie jest dzielnica dla śrubek i listewek. Za dobry adres dla doniczek, torfu i środka na mszycę.

Wkrótce wolny rynek zrobi z tym porządek. Nie-widzialna ręka podniesie czynsz. Potem ktoś zerwie tynki. Zamówi w Szwajcarii cementowe płytki. Spatynowane będą wyglądały jak przedwojenne. Na witrynie pojawi się nowa nazwa, a my już nigdy nie wejdziemy do środka. Najwyżej kiedyś, przechodząc, zadumamy się nad przyjętym modelem biznesowym. Jak można żyć ze sprzedawania jednej kanapy? Jak się handluje niczym, wytworną pustką, markowym powietrzem?

Na razie do niedogrzanego lokalu wpadają dwie licealistki. Bardzo im się spieszy.

– Czy są kijki do transparentów?

Sprzedawca znika za ladą, potem wraca z kompletem odpowiedniej długości. W sklepie jest pusto, więc pozwala dzieciom rozłożyć transparent. Przygląda się płachcie prześcieradła, na której wymalowano – dość równymi nawet literami – rymowane hasło w obronie planety. Coś w stylu: „Klimat nas obchodzi, bo jesteśmy młodzi” albo: „Nie, dziękuję, węgiel truje”. Albo: „Ratuj klimat i pingwina”.

– A wiecie – pyta sprzedawca – kto najbardziej truje?

Nie wiedzą. A może wiedzą, ale nie wdają się w dyskusję. Mają ze sobą klej Kropelka. Specjalnie kupiły tubkę, żeby przykleić transparent do kijków.

– Niemcy – wyjaśnia sprzedawca. – Najwięcej trują Niemcy.

Informacja nie robi spodziewanego wrażenia.

– A wiecie – pyta sprzedawca – kto zarabia na wiatrakach?

Nie wiedzą. Chwilowo mają inne zmartwienie. Właśnie odkryły słabe strony pomysłu z klejem Kropelka. Palce skleja się jak płetwy. Pingwin lgnie do szalika.

– Były wiceprezydent zarabia – odpowiada sprzedawca. – Ten amerykański. Wziął i zainwestował w baterie słoneczne, wiatraki i rowery.

Kropelka szaleje. Transparent zwija się i zamienia we wstęgę Möbiusa.

– Tylko reklamę mu zrobicie – ciągnie sprzedawca.

Wstęga Möbiusa żyje. Przykleja się do płaszcza (moim zdaniem zdecydowanie zbyt lekkiego na tę pogodę, ale czy dzieci w ogóle jeszcze słuchają, co się do nich mówi?).

– Kiedyś straszliwi oziębieniem, potem dziurą ozonową – wylicza sprzedawca. – Mogliby się w końcu zdecydować. A dwutlenek węgla jakoś nam dawniej nie szkodził.

Tymczasem w pomieszczeniu rośnie kłęb przedmiotów połączonych klejem Kropelka. Sprzedawca wycofuje się w milczeniu. Wraca z garścią małych gwoździków i młotkiem.

– Dajcie – mówi – bo już nie mogę patrzeć, jak to robicie.

Przybija płótno do kijków. Stuk-puk, jakby powtarzał swoje główne tezy. Szach-mat i gotowe.

– Biegnijcie, bo wam się demonstracja skończy – radzi.

Licealistki dziękują i biegną pod jakiś ważny urząd. Za chwilę będą śpiewać, że solidarność jest bronią. Wykrzykiwać swoje rymowane hasła. Zapewniać, że *we shell overcome*, że łańcuch ludzkich serc, a ludzi dobrej woli jest więcej.

Potem wrzucą filmik do internetu. Niespokojnie sprawdzą liczbę wyświetleń. Demonstracja odbije się echem, zwróci uwagę, przyciągnie zainteresowanie. Zima się skończy. Wkrótce padnie kolejny rekord temperatur.

Musimy wierzyć w atawistyczne odruchy solidarności. W pomoc nieznanym. W życzliwość bez powodu. I jeszcze w te chwile, kiedy nagle dostrzegamy, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie. Bo wszyscy już dawno przegraliśmy.

Nie żałujcie bliźniemu gwoździków. (Oczywiście pod warunkiem, że nie planuje nikogo ukrzyżować).

Rzecz gustu,

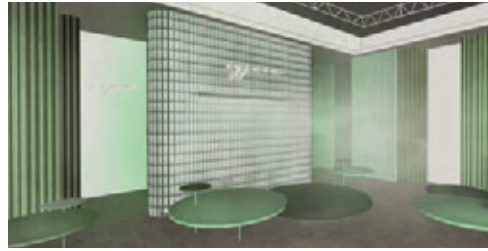
CZYLI REDAKCJA „PISMA”
POLECA W MAJU:



AOC na małym ekranie

1 maja Netflix udostępni dokument *Knock Down the House*, pokazany po raz pierwszy w styczniu tego roku podczas Sundance Film Festival. Obraz zagląda za kulisy zeszłorocznej kampanii czterech kandydatek do Kongresu USA: Amy Vileli, Cori Bush, Pauli Jean Swearengin oraz – jedynej z nich, która zdobyła mandat – Alexandrii Ocasio-Cortez (jej portret opublikowaliśmy w „Piśmie” nr 11/2018). Reżyserka Rachel Lears rozpoczęła pracę nad filmem na długo przed startem kampanii: nazajutrz po zwycięstwie Donalda Trumpa w wyborach na prezydenta USA postanowiła – jak powiedziała w wywiadzie dla „Vanity Fair” – poszukać „charyzmatycznych liderów, które nie są zawodowymi politykami, lecz jest im przeznaczone reprezentować swoje społeczności”.

WIĘCEJ: netflix.com



Sanatorium w galerii

Od 4 maja wrocławianie poszukujący wytchnienia od miejskiego pędu będą mogli je znaleźć w przestrzeni BWA Dizajn. Zespół Buck.Studio przekształcił galerię w miejskie sanatorium. Charakter miejsca oddadzą bogata roślinność i relaksujące inhalacje z pary wodnej. Otwarcie „Żyjni” towarzyszy przekrojowa wystawa pt. „5!”, która potrwa do końca lata.

WIĘCEJ: bwa.wroc.pl

Maj 2019

1

4

10

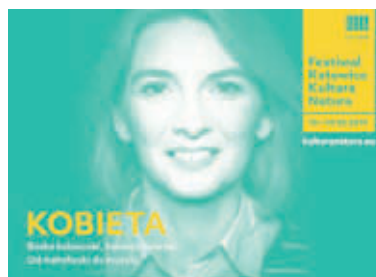
14

21

Kobiecość w Katowicach

10–19 maja w Narodowej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia odbędzie się piąta edycja Festiwalu Kultura Natura, tym razem pod hasłem: „Kobieta. Boska kobiecość, kobieca boskość. Od metafizyki do muzyki”. Nad programem, w którym znalazło się między innymi rzadko wykonywane dzieło Arthura Honeggera poświęcone jednej z najsłynniejszych kobiet w historii świata, *Joanna d'Arc na stosie*, czuwa dyrektor naczelna i programowa NOSPR Ewa Bogusz-Moore.

WIĘCEJ: nospr.org.pl



Międzynarodowy Festiwal Literatury Apostrof

To jedyne święto pasjonatów książek, które trwa jednocześnie przez siedem dni (20–26 maja), w sześciu miastach: Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Gdańsku i Katowicach. Program Festiwalu to spotkania oraz debaty skoncentrowane wokół tematu przewodniego edycji: „To nie jest jedyny możliwy świat”. Kuratorką jest Olga Tokarczuk, a wśród gości m.in. Aleksijewicz, Groff, LeDuff, Twardoch, Åsbrink, Tochman czy Żadan.

WIĘCEJ: empik.com/apostrof



Masłowska, Bieńczyk i Stasiuk w Poznaniu

Festiwal Poznań Poetów zaprosił na spotkanie autorkę i autorów, których styl flirtuje z liryką. Z Dorotą Masłowską, Markiem Bieńczykiem i Andrzejem Stasiukiem o poezji w prozie i prozie w poezji 14 maja o godz. 19 porozmawia prof. Piotr Śliwiński i redaktorka naczelna „Pisma” Magdalena Kicińska.

WIĘCEJ: ckzamek.pl



MIGRACJE

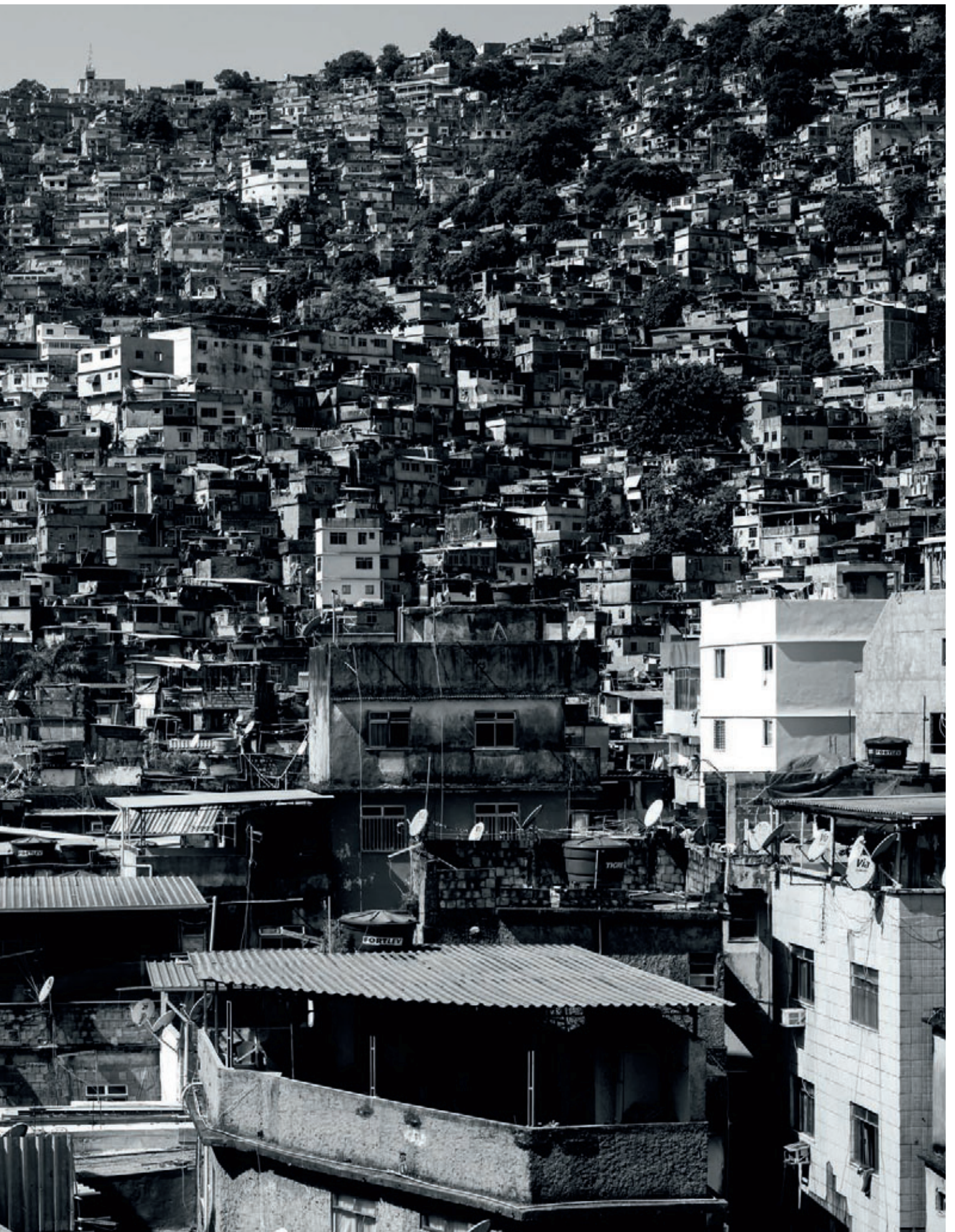
Rocinha

zdjęcie i tekst KAROL GRYCORUK/RATS

Rocinha to największa fawela w Brazylii i jedna z dwóch najbardziej zaludnionych dzielnic wielkiego ubóstwa w Ameryce Południowej. Mieszka tu (w zależności od źródła) od 60 tysięcy do nawet ćwierć miliona ludzi. Rocinha jest jedną z najsprawniej funkcjonujących w mieście fawel. Zawdzięcza to samoorganizacji mieszkańców, którzy na własną rękę, na przekór złej sławie i kontroli gangów, modernizują ją.

WSPÓŁPRACA:

minority
rights
group
international



Toń

tekst ŁUKASZ ORBITOWSKI

Pamięci Jana Wolskiego

Gdy po raz pierwszy wujka porwali kosmici, nie było mnie jeszcze na świecie. No a wujek młody był, dopiero zawodówkę skończył, czyli kosmiczny zobaczył gdzieś koło siedemdziesiątego piątego, może szóstego roku.

Wujek mieszkał wtedy jeszcze z rodzicami, to znaczy mam tutaj na myśli jego rodziców, a moich dziadków. Dzielił pokój z bratem, czyli moim tatą, a wszyscy siedzieli na pierwszym piętrze sypiącej się kamienicy, przy Moniuszki, niedaleko dworca kolejowego. Wujek skończył zawodówkę, został kamieniarzem i znalazł sobie robotę przy piaskowcu, w Złotori.

Pracę w takiej Złotori trudno uznać za coś szczególnego, ale też wujek niczego takiego nie oczekiwał. Chciał, żeby starczyło mu na papierosy i tańce co sobotę. Dokładał się mamie do czynszu i jedzenia, czasem rozpił z kolegami flaszeczkę i tyle miał z życia. Zapytany o przyszłość, odpowiadał, że nie będzie zwracał sobie nią głowy. Chciałby uniknąć cierpienia, lecz i wielkich wzruszeń, tak rzekł.

I życie mojego wujka właśnie tak wyglądało. Od poniedziałku do soboty jeździł do Złotori, przy czym zdarzało mu się tam zostawać na zabawie. Wracał nad ranem, w niedzielę leżał w łóżku do południa, potem, poganiany przez matkę, ubierał się do kościoła, zaś popołudnia spędzał z radiem

i książką o drugiej wojnie światowej, dopytując, kiedy wreszcie w domu pojawi się telewizor.

Cała przygoda zaczęła się właśnie od Złotori. Wujek wybawił się na dansingu, wypił przynajmniej pięć piw i władował się do wartyburga. Wtedy wszyscy tak jeździli. Zresztą co miał zrobić ten mój wujek? Nocą nie kursowały autobusy ani pociągi, żadnych taksówek nie było. Wsiadł, wrzucił dwójkę i pojechał z brodą przyklejoną do kierownicy, pomalutku. Wiadomo, pijani jeżdżą najbezpieczniej.

To, co wydarzyło się potem, opowiem tak, jak wujek mi opowiadał, żeby niczego nie przeinaczyć. Między Złotorią a naszym miastem ciągną się lasy i wujek właśnie w takim lesie, już niedaleko domu, zobaczył dwójkę dzieci na poboczu. Machały do niego szarymi łapkami. Były to bardzo dziwne dzieci, niskie, o wąskich barkach i wielkich łbach. Wujek uznał, że trafiły mu się bliźniaki z wodogłowiem.

Wpuścił te dzieci na tylne siedzenie. Każdy by tak postąpił. Przecież był środek nocy, już mgła wypełzała z zarośli. Tym, powiedzmy, chłopcom, groziło mnóstwo niebezpieczeństw, na przykład pijany kierowca, który – inaczej niż mój wujek – wbija pedał gazu w opór. Albo przeziębienie. Więc wujek ruszył z osobiwymi pasażerami na tylnym siedzeniu. Wspominał, że ledwo ich widział,

bo ciemno było. Ale wydali mu się dziwni: każdy miał małe usta i czarne ślepia na pół płaskiej twarzy. Usiłował od nich wyciągnąć, skąd są i dokąd jada. Milczeli. Wymyślił sobie, że podrzuci ich na komendę. Niech milicjanty się biedzą.

Ujechał kawałek, gdy pasażerowie dali mu znak, żeby skręcił. Ciągłe milczeli, wskazując na drogę gruntową. Próbował im tłumaczyć, że tam znajdują zalany kamieniołom, nic więcej. Nie chcieli słuchać i tylko walił w szybę szarymi piąstkami. Co tam, pomyślał mój wujek, odstawi się ich i będzie spokój. Może to jacyś dalekowschodni inżynierowie i badają wodę u nas? Właściwie dlaczego Chińczyk miałby nie zainteresować się kamieniołomem?

Kamieniołom był wielki i bardzo niebezpieczny. Strome, wapienne skały wznosiły się wysoko ponad lustrem wody. Powiadano, że na dnie, czterdzieści metrów niżej, leżą potopione wiertnice, łuparki, kruszarki, samochody i trupy w bagażnikach. Nawet sam wujek ostrzegał mnie przed tym miejscem, oczywiście lata po tym, jak wydarzyła się historia, którą tu opowiadam. Ostrzegał przed niezbadaną głębią wody i wirami, tworzącymi się nagle, bez wyraźnego powodu. „Są jak łapa ściągająca na dno” – tak mi rzekł. Kamieniołom żywi się mięsem.

Tej nocy nad tą głębiną unosił się spodek wielkości stadionu. Przynajmniej wujek tak



rysunki RAFAŁ PIEKARSKI

twierdził. Utrzymywał, że nigdy wcześniej nie widział czegoś tak ogromnego, nawet gdy pojechał z wycieczką szkolną do Chorzowa i tam pokazali mu karuzelę. Spodek wirował powoli i zupełnie bezgłośnie, a na jego brzegach mrugały wielobarwne światła. Wujek wypuścił pasażerów z wartburga i wysiadł za nimi. Powiedział potem jeszcze, że z dolnej części kadłuba uwolnił się snop delikatnego światła. Było ciepłe, przyjazne. Aż chciało się wejść.

Tutaj urywa się zarówno opowieść wujka, jak i kawałek nici jego losu. Owszem, zdał mi relację z wydarzeń na pokładzie pojazdu. Mówił o grubej igle wbitej w czoło i dziwacznej maszynie odliczającej do tyłu, w nieznanym mu, lecz jednocześnie zrozumiałym języku, a także o wielu innych niepokojących rzeczach. Ich jednak doświadczył później, podczas kolejnych uprowadzeń. Z pierwszego zapamiętał tylko żółtawy blask pochłaniający jego samego.

Zniknął na tydzień. Wartburg, znaleziony przy kamieniołomie, wpędził rodziców wujka w rozpacz. Nabrali przekonania, że syn im się utopił, ku czemu, skądinąd, miał całkiem przyzwoity powód. Ekipa nurków, ściągnięta na tę okoliczność z Wrocławia, przeczesywała dno, milicjanci obsadzili drogi i dworce w województwie i maglowali całą naszą rodzinę na komisariacie. Nikomu żaden kosmiczny nawet nie przyszli do głowy. Wujek zignorował powołanie do wojska. W poniedziałek miał się stawić do Opola, żeby odsłużyć swoje w Dywizji Pancerniej imienia Bohaterów Armii Radzieckiej. Sobotnia noc go zjadła.

— WUJEK WRÓCIŁ, jakby nic się nie wydarzyło. Była niedziela rano. Wszedł do domu i poprosił o coś do jedzenia. Babcia zemdląca, a dziadek chyba by syna zatłukł, gdyby nie jego bezradna mina i szczerze zdziwione oczy. Wujko nie przyjmował do wiadomości, że zniknął na tydzień. Nie powiedział też, co się z nim wówczas działo. Był pewien, że mamy zeszłą niedzielę, a on spóźnił się tylko parę godzin. Planował wrócić w nocy, stawił się nad ranem. Powtarzał to do znudzenia i w kółko pytał, dlaczego wszyscy mają do niego jakieś pretensje.

Wyglądał dobrze, zjadł trzy talerze zupy i gołąbki przeznaczone dla całej rodziny. Na-

rzekał na szum w uszach i utrzymywał, że boli go pięta. Oglądał ją długo, na próżno szukając skazy, i wyraził nadzieję, że lekarz w jednostce wojskowej rozpozna, co mu dolega, a nawet zwolni ze służby. Tymczasem wpadła do nas milicja. Zawinęli wujka z nad ostatniego gołąbka i powlekli na komendę.

Na przesłuchaniu wujko opowiedział o dzieciach bądź inżynierach z Chin i dziwnym pojeździe, do którego został zaproszony. Nie miał pojęcia, co to był za pojazd, lecz niewątpliwie stanowił on szczytowe osiągnięcie wojskowości bloku wschodniego. Wisiał spokojnie, bez szumu silników, jak wielka bombka choinkowa. Wujko dodał jeszcze, że przypuszczalnie zaproszono go na pokład i nie mógł zrozumieć, gdzie zgubił się cały tydzień. Niestety, żadnych szczegółów nie pamiętał. Milicjanci skierowali go do psychiatry. Psychiatra usłyszał to samo, a ponieważ domagał się detali, wujko opisał dokładnie wygląd dwójki pasażerów, ich oczy, usta i wielkie głowy. Im dłużej lekarz pytał, tym dokładniej wujko odpowiadał, w konsekwencji czego nie poszedł do żadnego wojska. Z wariatkowa zwolnili go po roku.

Wujek wrócił do pracy w Złotorzy, a po paru latach przeniósł się do Fabryki Wyrobów Metalowych, już u nas, na Kolejowej. Miał tam blisko i tylko o to mu chodziło. Po robocie zawsze wracał do domu i jadł wszystko, co babcia podstawiła mu pod nos. Coraz rzadziej jeździł na potańcówki, lubił za to walnąć parę głębszych w Ratuszowej przy Rynku. W tym czasie mój ojciec zdał na politechnikę, poznał moją mamę i w ten sposób, po paru latach, pojawiłem się ja. Rodzice dostali mieszkanie w nowym bloku na Sportowej. Wujek został u dziadków sam i dobrze mu było.

O dziadkach nie dało się powiedzieć tego samego. Martwili się wujkiem, tym, że wra-



ca z pracy prosto do domu, zadaje się z głępszymi od siebie i jeszcze gada o tych kosmitach. Babcia suszyła mu głowę, żeby się ożenił. Kto to widział, żeby taki piękny kawaler nie znalazł sobie panny? Dziadek zauważył wówczas, że widywał wielu innych, lepszych kawalerów. Wujko był raczej niski, szybko zaczął łysieć, uwielbiał też swetry, a w ciepłe dni pod pachami jego kremowej koszuli rosły plamy potu. Ale oczy miał wujek piękne, błękitne takie, ufne, jakby był gotów przyjąć najgorszy nawet los.

Na razie groziło mu małżeństwo. Babcia w kółko powtarzała, że gotować mu nie będzie, i w końcu się tym przejął. Narzeczoną znalazł po linii najmniejszego oporu. Do nielicznych wujkowych obowiązków należało wysyłanie listów i odbieranie poleconych. Babcia w ogóle uwielbiała wysyłać pisma – jej zdaniem mogły zmienić świat. Słała elaboraty do elektrowni, wodociągów i gminnej komórki partyjnej, a wujko ganiał z tym wszystkim na pocztę, gdzie w okienku nudziła się pani Ela. Pani Ela była od wujka o pięć lat starsza, o głowę wyższa i bez przerwy się śmiała. Zagadywał ją tak długo, aż w końcu dała się wyciągnąć na obiad do Ratuszowej i zabawę do Złotorzy. Poszło nawet sprawnie. W słoneczne dni spacerowali sobie, trzymając się za ręce, i zachodzili do moich dziadków na obiady. Babcia futrowała Elę dorszem i kotлетem. Nie posiadała się ze szczęścia. Synowa zatrudniona na pocztę stanowiła spełnienie marzeń.

Tymczasem wujko chodził jakiś markotny. Wiem, bo spędzaliśmy ze sobą dużo czasu i zawsze traktował mnie jak dorosłego, to znaczy żalił się, co mu leży na wątrobie. Kiedy wyłożył mi swoją teorię małżeństwa, miałem może pięć lat, ale pamiętam ją do dzisiaj. Zaczął od tego, że Ela jest porządną dziewczyną i lepiej nie mógł trafić. „Może trochę kłótniwa i za dużo je” – dodał po chwili wahania. Dla wolnego ducha – a za takiego się mój wujko uważał – małżeństwo oznacza jednak śmierć, zaś człowiek, który w nim trwa, zmienia się na gorsze. Proces ten zachodzi bardzo powoli i dlatego mało kto zwraca nań uwagę. „Żyjąc z drugim człowiekiem, tracimy czujność i uwalniamy zło z siebie” – dodał jeszcze. Nikt wcześniej nie mówił mi takich rzeczy. Wujko zastanawiał się też, czy po ślubie Ela puści go czasem na wódeczkę i czy czasem nie zażąda od niego

zmiany pracy: tego ostatniego obawiał się najbardziej. Kochał swoją robotę, ponieważ była trzy minuty od domu.

Babcia z Elą zabrały się za planowanie wujkowego życia. Ustalono datę ślubu. Państwo młodzi mieli na początek zamieszkać z dziadkami. Babcia i przysła synowa piły sobie z dzióbków. Ustalono też, że obie rodziny wyskoczą z kasy, użyją czarów księżeczek mieszkaniowych, wpływów w ratuszu, spółdzielni i partii, tak aby wujo i pani Ela zajmowali się dziećmi już na swoim. Jak padło to o dzieciach, wujek zadławił się pierogiem. Taką minę mógł mieć, kiedy gapił się na statek kosmiczny zawieszony nad kamieniołomem.

Ślub miał się odbyć u Świętego Marcina, wesele zaś w pałacu Jugowice, tylko do tego wszystkiego nie doszło, ponieważ wujka znów porwało UFO. Przynajmniej tak utrzymywał, kiedy po tygodniu zjawiał się z powrotem. Tamtej niedzieli naprawdę nie było wesoło. Czekałem wciśnięty w garnitur, a wszystkim wokoło nerwy puszczały jak linki hamulcowe. Czekał kierowca w czarnym citroenie i pijaki przy weselnej bramie, czekał poważny ojciec panny młodej i zapłakana babunia, wkurwiał się ksiądz, a w Jugowicach mroziła się wódka i czekały dania. W końcu pani Ela prasnęła bukietem, wyłkła, że w życiu nie została tak upokorzona, no ale mogła się tego spodziewać, patrząc na naszą rodzinę. Mój stary zapytał wówczas, co konkretnie ma na myśli, tatko Eli odparł, że zaraz może mu wytłumaczyć i pod Świętym Marcinem wybuchła bójka jak na derbach, jeśli nie wspanialsza.

Sam zainteresowany powrócił w kolejną sobotę. Konkretnie zameldował się pod Świętym Marcinem, ubrany w ślubny garnitur, z bukietem w łapie i obrączkami w kieszeni. Ponieważ ślub brała jakaś inna para, zaczął wypytywać weselników, gdzie się podziała Ela, brat i reszta. Potem poleciał do dziadków i sprawiał wrażenie święcie przekonanego, że pomylił godziny. Dziadzio omal nie urwał mu głowy. Babcia powiedziała, że nie spodziewała się po nim takiej grandy. Przez tydzień szukały go dwie rodziny, milicja i kumple z Ratuszowej.

Wujo na to wszystko zrobił wielkie oczy. Powiedział, że przed samym ślubem poszedł sobie na spacer. Zbierał myśli, chcąc się przygotować do tego szczególnego wyda-

zenia. Nogi zaniósł go za miasto, do lasu niedaleko kamieniołomu. Lubił to miejsce, tak rzekł. Tam najspokojniej mu się myślało. Dzień był gorący i piękny, wujo ze wszystkich sił próbował wyobrazić sobie niesłychane szczęście, które go czeka, i nagle zobaczył stalowego olbrzyma wiszącego nad koronami drzew. Z brzucha tego kolosa spłynęło oślepiające światło. Wujo odzyskał wzrok dopiero pod kościołem.

—
MÓJ TATO OBRAZIŁ się na brata, ale ja kochałem faceta bez pamięci. W końcu mało który dzieciak ma wujka zaprzyjaźnionego z kosmitami. Zresztą wujo spędzał ze mną masę czasu, po części dlatego, że szczerze mnie lubił, no i po tym, jak pani Ela puściła go w trąbę, nie miał za wiele do roboty. Od tego właśnie są wujkowie. Zapracowani rodzice dają jedzenie na stół i spodnie na dupę, zaś wieczorami myślą tylko o oglądaniu telewizji. W pełni ich rozumiem. Często podrzucali mnie do wujka, a ja chętnie tam przychodziłem. Wujek nigdy się nie złościł, zabierał mnie do lasu, na ryby i opowiadał najróżniejsze rzeczy o cudach tego pięknego świata. Dzięki niemu dowiedziałem się, że ratel afrykański, małe, zacięte zwierzątko, potrafi stoczyć wyrównany pojedynek z lwem. Do dziś rozpoznam gatunek ptaka w locie i wiem, które ryby pływają pod powierzchnią, a które przy dnie. Jedne i drugie łowiliśmy, a jakże, na robaka.

Wujo lubił łowić ryby, a modelarstwo opowiadało mu jeszcze bardziej. Najwyraźniej cenił sobie monotonne czynności, które pochłaniają masę czasu. Modele niby sklejałiśmy wspólnie, ale prawda była taka, że ja głównie patrzyłem. Wujo zdejmował wszystko z kuchennego stołu, mówiąc, że najważniejsze jest przygotowanie odpowiedniego miejsca pracy. Na blacie rozkładał gazetę i każdy jej róg obciążał odważnikiem. Potem przychodził czas na akcesoria modelarskie: ekierkę, linijkę, nożyczki, szkła powiększające, pilniki i pędzle. Farbki ustawiał kolorami, od najjaśniejszej. Wreszcie przychodził czas na model. Sklejałiśmy głównie samoloty: migi, jaki i łosie. Wykonano je niedbale i z wielu części sterczały niepotrzebne kawałki plastiku. Wujo, niesłuchanie poważny, skupiony jak piłkarz przed karnym, wycinał takie działko albo śmigiełko, brał pęsetę i po-

malutku wyrównywał pilniczkiem. Siegał po lupe, oglądał, wyrównywał znowu i dopiero przyklejał. Potrafiłem całe dnie z nim siedzieć. Na koniec wspólnie malowaliśmy model i nalepialiśmy naklejki. Nasze samoloty były piękne. Wyglądały, jakby zaraz miały wzbić się w niebo.

Skoro o niebie mowa – wujek zabierał mnie też nad kamieniołom i opowiadał o swoich uprowadzeniach. Już się połapał, że nie byli to Chińczycy, ale ufoludki. Powiedział, że takie uprowadzenie strasznie uprzykrza życie, i nie chodziło mu tylko o to, że miałby całkiem fajną żonę, gdyby nie Marsjanie. Pobyt na statku kosmicznym nie należał do przyjemności. Odpamiętał. Przywołał kilka szczegółów. Trzymano go w jakiejś chłodnej, gęstej mazi i zawsze mógł liczyć na grubą igłę wbijaną w czoło lub oko. Do tego był głodny. Kosmici jedli coś, co przypominało sople, i dali mu nawet jeden taki do spróbowania. Wujek odmówił w obawie, że kuchnia marsjańska zaszkodzi mu na żołądek.

Pamiętam, jak siedzieliśmy na brzegu kamieniołomu. Wujek ściągnął but i pokazał czarne znamię na kostce. Powiedział, że nie wie, co to takiego, ale zostało mu właśnie po spotkaniu z kosmitami. I nie chce zejść. Po każdym uprowadzeniu przez kilka tygodni bolała go głowa, nabrał też przekonania, że ma jakieś metalowe części w nosie, w skroniach i na karku. Naszpikowali mu mózg tranzystorami, tak rzekł. A potem zapytał, czemu spotkało to właśnie jego. Przecież jest zwyczajnym człowiekiem i nie lubi się niczym wyróżniać. Na miejscu Marsjan zainteresowałyby się raczej jakimś wykształconym osobnikiem, geografem z mojej podstawówki czy też kimś podobnym. Tak mówił. Siedzieliśmy jeszcze chwilę na skraju kamieniołomu. Ściana opadała ostro, dwadzieścia metrów w dół. Wujo przechylił się, popatrzył w toń i wypowiedział słowa, których nigdy nie zapomnę:

– Jakbyś stąd zleciał, zginiesz na miejscu. Woda twarda jak beton. Ona cię pochłonie. Nie znajdą nawet ciała.

Teraz pomyślałem, że z tych wspomnień wychodzi trochę inny wujo niż ten prawdziwy. Taki poczciwy głupek, niezdolny do żadnej podłości. Gdzie tam! Jak dał w palnik, startował z pięściami do każdego. Cios miał fest, bez dwóch zdań. Parę razy myślałem,

ze pozabijają się z moim tatusiem. Potem siadali do rodzinnego obiadu, jeden z rozkwaszoną wargą, drugi z podbitym okiem. Ryków, jakie niosły się z mieszkania na Moniuszki, nie sposób opisać. Wujek wrzeszczał, że jest niekochany, a nawet nienawidzony, żałował też, że nie trafił do sierocińca. Tam byłoby mu lepiej. Dziadek nie pozostawiał mu dłużny. Wył, że nie pojmuje, jakim cudem spłodził taką ofiarę losu. Nazywał wujka moczycem i złodziejem.

Z tym złodziejstwem miał niestety rację, bo wujo kradł na zakładzie. To znaczy wszyscy kradli, lecz wujek jako jedyny niespecjalnie się z tym krył. Wymosił środki czystości, gigantyczne rolki papieru toaletowego, nawet miedź na złom, a gdy kumpel od kielicha zamarzył o radiu, zwyczajnie zakosił je ze stołówki. Regularnie spuszczał benzynę ze służbowych samochodów, reagując na potrzeby paliwowe swojej ulicy, szczególnie palące w czasach permanentnego niedoboru. Mówili nawet, że raz wyniósł drzwi, bo sąsiad się budował i nie mógł takich kupić. Pieniądze puszczał w Ratuszowej. Pijał tylko tam. Uważał, że prawdziwy dżentelmen nie trzyma wódki w domu.

No i w końcu zapuszkowali tego naszego dżentelmena. Po prawdzie mało komu na zakładzie przeszkadzały te kradzieże, wszyscy szabrowali równo, ale zjawiała się kontrola i należało ukarać kogoś dla przykładu. Aresztowany wujo raczej sobie nie pomógł. Milicjantowi stracił czapkę i poinformował go, że miejsce psa jest w budzie. Spałowali go na komendzie i nie chcieli puścić. W podobnych sprawach podejrzany czeka na rozprawę w domu, lecz krewki wujo wylądował w celi. Babcia nie rozstawiała się z chusteczką. Płakała, że urodziła kryminalistę i zastanawiała się, czy wujka dobrze karmią w tym areszcie.

Wujek przesiedział parę dni i zniknął z celi. Po prostu. Koło północy jeszcze go w niej widzieli, dwie godziny później już nie. Drzwi były zamknięte, okno zakratowane jak należy i tylko więźnia brakowało. Milicjanci pogłupieli, jeden oskarżał drugiego, aż w końcu zrobiła się chryja z udziałem zastępcy komendy wojewódzkiej. Nikt nie mógł zrozumieć, jakim cudem wujek wy dostał się na wolność i co teraz porabia. My oczywiście rozumiemy. Wujo odnalazł się po tygodniu. Na przesłuchaniu powiedział

to samo, co nam: cela wypełniła się białym światłem, zaszumiało i znalazł się na statku kosmicznym, do tego z igłą w głowie.

—
WSZYSTKO ZMIENIŁO SIĘ, gdy umarli dziadkowie. Odeszli jedno po drugim, w odstępie niecałego roku, i wujek bardzo to przeżył. Nie mógł zrozumieć tej śmierci, przypuszczalnie uważał, że zawsze będzie miał rodziców. Codziennie chodził na cmentarz, zapewne także po to, żeby nie siedzieć w pustym domu. Powtarzał, jak bardzo żałuje wszystkich okrutnych słów wypowiedzianych w gniewie. Zastanawiał się też, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Może rodzice mieszkają na Marsie. Kto wie?

Postarzał się i schudł. Zabrakło babcinej kuchni, więc jadł z rzadka i byle co. Do nas na obiady przychodził niechętnie, jadł powoli i nic nie mówił. Złościło go, że próbujemy się troszczyć, ale moje wizyty przyjmował z wdzięcznością. Żałuję, że nie można przewidzieć przyszłości. Byłem już nastolatkiem, miałem mnóstwo własnych, bardzo ważnych spraw. A powinienem odwiedzać go częściej.

Wujo bardzo przejmował się tym umiarem i chętnie opowiadał, jak odchodzili. Dziadek stracił przytomność pod prysznicem i nigdy już jej nie odzyskał. W szpitalu zdawał się znikać, dosłownie kurczył się pod kołdrą. Zapadły mu się policzki, wyostrzył nos, a niecałą dobę po upadku zatrzęsło nim i oddał ducha, wspominał wujek. Babcia powoli wytracała pęd, to znaczy była taka sama jak wcześniej, tylko wolniejsza, bardziej zgaszona. Jabłko obierała przez kwadrans i zjadała najwyżej połowę. Powtarzała, że nie jest głodna. Jej nogi nagle stały się ciężkie, plecy wyrzucił garb i pewnego dnia po prostu nie wstała z łóżka. Wujo karmił ją, przewijał, oklepywał plecy i nigdy nie wypowiedział słowa skargi. Dopiero gdy jej zabrakło, odkorkował flaszkę i rzekł, że może dobrze się stało, bo mama już nie cierpi.

Wujo został sam w mieszkaniu na Moniuszki. Już nie sklejał modeli, nie odwiedzał też Ratuszowej. Zastawałem go przy kuchennym stole. Słuchał radia, w pokoju dziennym chodził telewizor. Na patelni czerpnął kotlet, w garnku pływały rozgotowane pierogi, jedno albo drugie. Zawsze witał mnie z uśmiechem, pytał, jak mi się żyje,

co w szkole, czy już umawiam się z dziewczynami. O sobie mówił niewiele. Zauważyłem, że coraz bardziej przypomina dziadka. W końcu zwolnił się z pracy i już tylko siedział przy tym stole. Opierał łokcie o ceratę, spalał papierosy aż po filtr i dolewał do szklanki. Zapytałem go w końcu, co planuje dalej zrobić. Z czego będzie żył? Co powie-działyby babcia, gdyby zobaczyła go teraz?

– Wiesz, babcia już nigdy nic nie powie – odparł wujek. – Myślałem dużo o tym, kim jestem i co mi się zdarzyło. Nie znajduję w świecie niczego, co byłoby wartościowe. Nawet cierpienie i smutek znoszę jakoś lekko. Jest do przeżycia. Ale nie martwię się niczym. Odwiedzili mnie moi kosmiczni przyjaciele. Weszli tutaj, kiedy spałem. Powiedzieli, że niedługo zabiorą mnie do siebie na zawsze. Muszę tylko czekać. Co ja, głupi jestem? Nie będę do roboty chodził ani brał się za coś poważnego, skoro już dla mnie na Marsie mieszkanie szykują. Myślałem też trochę o tych kosmitach. Namęczyłem się przez nich sporo, ale koniec końców są chyba w porządku.

Niedługo później wujek zniknął i nigdy nie wrócił. W pustym mieszkaniu wciąż chodziło radio i telewizor. Policzyłem buty i kurtki. Niczego nie brakowało. Zgłosiliśmy zaginięcie, a ponieważ wujo był dobrze znany milicji, nikt specjalnie się tym nie przejął. Tak właśnie wygląda życie. Czasem przepada jakiś człowiek i już. Zresztą przez pierwsze dni po zaginięciu liczyłem na jego powrót. Zawsze meldował się po tygodniu, ale minął tydzień, potem miesiąc i zrozumiałem, że już nigdy się nie zobaczymy. Mieszkanie przepisał na mnie. Ciekawe, bo nigdy nie powiedział, że mnie kocha.

Dziś jestem już dorosły, ale ciągle zachodzę do kamieniołomu. Nie dzieje się to często, może dwa razy do roku. Sadowię się na brzegu, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie kiedyś siedzieliśmy z wujkiem. Bawię się myślą o statku kosmicznym, jaki był duży, jak się świecił i kręcił. Ktoś inny zapewne patrzyłby w gwiazdy albo na Marsa, ten czerwony gwóźdź, i zastanawiał się, czy wujek tam ciągle jest. Ale ja nigdy czegoś takiego nie rozważałem. Patrzę w toń dwadzieścia metrów niżej, taką, co ciało pochłonie i nigdy nie odda.

Kraków, marzec 2019



Międzynarodowy Festiwal Poezji Silesius, organizowany przez Wrocławski Dom Literatury, odbędzie się w dniach 14–19 maja 2019 r. Gościem honorowym tegorocznej edycji imprezy będą Czechy.

ZOFIA BAŁDYGA

(ur. 1987), autorka książek poetyckich *Passe-partout* (Warszawa 2006), *Współgłoski* (Nowa Ruda 2010) oraz *Kto kupi tak małe kraje* (Warszawa 2017). Absolwentka Instytutu Sławistyki Zachodniej i Południowej UW. Tłumaczka najnowszej poezji czeskiej i słowackiej. Mieszka w Pradze.

POEZJA

Wybrzeże południowe

JONÁŠ HÁJEK

—

Od Inari po Ierapetrę
widzieliśmy Europę – drażniące
wspomnienie o niej samej.

(Miejscami byłbym w stanie
na pierwszy rzut oka
pomieszać te krainy).

Ale tutaj jest gyros palmy, a pod nim
kobiety przekazują właśnie córkom, jeszcze malutkim,
górną część kostiumu.

A tutaj znów rzeczka skała:
„Jestem zawsze taka sama. Dlatego pociągam
ludzi zmiennych”.

przełożyła Zofia Bałdyga

**JONÁŠ
HÁJEK**

(ur. 1984), poeta. Opublikował trzy tomy poetyckie: *Suť* (*Gruz*, 2007), *Vlastivěda* (*Krajoznawstwo*, 2010), *Bázně 3* (*Wiersze 3*, 2013). Jego debiutancka książka została uhonorowana Nagrodą Jiří Ortana i nominacją do nagrody Magnesia Litera w kategorii Odkrycie roku. Publikuje w czasopismach „Souvislosti” i „Host”, tłumaczy z języka niemieckiego, pracuje też jako redaktor w wydawnictwie muzycznym. Mieszka w Pradze.

Punk, który jeździł koleją

tekst OLGA GITKIEWICZ

LEJTMOTYW W ŻYCIORYSIE Piotra Rachwalskiego? Kontestacja systemu. Nawet ze stołka prezesa Kolei Dolnośląskich.

Najpierw szli ludzie od samby i *radical cheerleaders*. I czarny blok. Z tyłu kilkaset osób z flagami i transparentami, według organizatorów mogło ich być prawie tysiąc. Był 1 maja 2001 roku, przez Warszawę przechodziła zgłoszona, legalna manifestacja pierwszomajowa zorganizowana przez anarchistów. Nazwali ją M1. – Władza precz! – krzyčeli, a władza reagowała: policja otoczyła demonstrantów, z kordonu nie można było wyjść ani do niego wejść. W pewnym momencie wysoki, krótko ostrzyżony chłopak w czarnych spodniach i czarnej koszulce wysunął się naprzód, powiedział, że jest organizatorem – podobno tłumaczył, że jest gorąco, że ludzie chcą pić, prosił, by wypuścili z kordonu dziewczyny. A potem przestał prosić i przepchnął się między policjantami. Zareagowali od razu, było ich chyba z dziesięciu. Ktoś mu strącił okulary – ten moment uwiecznił na fotografii Czarek Sokołowski, fotograf legenda współpracujący z Associated Press. Zdjęcie opublikował „The Guardian”. Chwilę później chłopak leżał na ziemi, a kilkunastu policjantów zadbało o to, by nie wstał zbyt szybko. Pomagali sobie butami i pałkami. W doku-

mentalnym filmie *Władza precz* Andrzeja Woyciechowskiego widać zbliżenie na asfalt, wykrzywioną bólem twarz i masywne cholewki policyjnych butów.

Poturbowany stracił przytomność i trafił do szpitala na Solcu, czego już na filmie nie widać. Miał rany i krwaki na głowie, lekarze podejrzewali wstrząs mózgu.

– No tak, to ja. Nawet nie pamiętam, jak się ta sprawa skończyła – mówi Piotr Rachwalski i poprawia mankiet marynarki. Może to po tamtym palowaniu ma na czole wyraźną bliznę. A może po zupełnie innym. – Co tydzień mnie zwijali, co tydzień siedziałem. Nie wiem, może mnie rozpoznawali, byłem wyższy, to się rzucałem w oczy. I dziesięciu, strategia zawsze ta sama, „zagrzywka ciałem” – z własnej woli nie szedłem, musieli mnie wlec. Wtedy byłem chudy, nie było im trudno, więc się śmialiśmy, że muszę przytyć przeciwko systemowi.

Żartujemy, ale trochę nerwowo. Jest grudzień 2018 roku, od manifestacji M1 minęły prawie dwie dekady, Rachwalski od ponad czterech lat jest prezesem Kolei Dolnośląskich, jedynej spółki samorządowej, którą lokalni politycy chwalili się w październikowych wyborach. Do świąt zostały

trzy dni, a media donoszą, że po Nowym Roku pożegna się ze stanowiskiem. „Koleje Dolnośląskie stracą prezesa? To prawdopodobny ruch nowej władzy” – analizuje wrocławska „Gazeta Wyborcza”. „Prezes Kolei Dolnośląskich do odstrzału po Nowym Roku?” – pyta portal Tulegnica.pl.

Koleje Dolnośląskie podlegają marszałkowi województwa. Po wyborach samorządowych marszałek się nie zmienił, zmieniła się za to koalicja rządząca województwem dolnośląskim – Bezpartyjni Samorządowcy porozumieli się z Prawem i Sprawiedliwością, które zdobyło w wyborach najwięcej mandatów. Zaczęły się kadrowe rozszady.

Ale o nich na razie nie rozmawiamy, rozmawiamy o czasach sprzeciwu wobec systemu i o innych wyborach samorządowych.

W LATACH 70. I 80. w oddalonym o niecałe sześćdziesiąt kilometrów od Poznania Wągrowcu rytm życia w domach stojących nieopodal torów regulowały przejeżdżające pociągi. Szyby w meblościance dźwięczały, a kiedy o dwudziestej drugiej dwadzieścia jechał ostatni skład do Czarnkowa, to był znak, że trzeba iść spać.

W dzień Piotrek Rachwalski chodził z kumplami oglądać parowozy na stacji, potem wałęsali się po podwórkach starówki, a kiedy podrosli, zaczęli zbierać butelki.

